

MARGINESY

NA PROSTEJ I ZAKRĘTACH

Niezwykły dzień

Andrzej nie należał do ludzi towarzyskich, czas wolny wolał spędzać w domu. Wyglądał niepozornie, by nie rzec – zwyczajnie. Miał 53 lata, 170 centymetrów wzrostu, krępa posturę ciała, zniszczoną przez papierosy cerę oraz szare, zmęczone oczy otoczone wianuszkami zmarszczek. Trudno się zatem dziwić, że nie wzbudzał niczyjzego zainteresowania, nie było mu przecież dane stać się kimś ciekawym i wyjątkowym, kimś, kto budziłby powszechny podziw i szacunek. Każdy dzień Andrzeja wyglądał tak samo: pobudka o 6. nad ranem, mycie twarzy, kawa w szklance i kromka chleba z salcesonem, droga na przystanek, po ośmiu godzinach spędzonych w pracy jako portier w hotelu powrót do domu, obiadokolacja, potem telewizja i wreszcie sen. Tylko niedziela wyglądała inaczej, był to jedyny dzień, który odróżniał się od pozostałych, ponieważ wówczas Andrzej spotykał się z matką, z którą jadł obiad i spacerował po okolicznym parku. Swoją pracę lubił średnio, w sumie nie musiał pracować, był już przecież na emeryturze górniczej i miał zapewnione środki na życie, pochłaniała ona jednak czas, którego miał w nadmiarze. Andrzej wiódł więc zupełnie nudne i monotonne życie. Pewnego dnia wszystko uległo jednak zmianie. Tego dnia Andrzej wstał z dziwnym przeczuciem, że wydarzy się coś niespodziewanego. Nie potrafił sprecyzować, co by to miało być – może autobus się spóźni, może w pracy wydarzy się coś nieoczekiwane. Nie podejrzewał, że będzie to coś o wiele większego i że na dodatek wydarzy się za sprawą osoby, z którą się nie widywał i nawet za bardzo nie pamiętał, jak wyglądała.

Dzień zaczął się jak zwykle. Dopiero po przyjeździe do pracy i po przybyciu kuriera z ważnym listem, jego dotychczasowe życie zmieniło się zupełnie. List okazał się pismem wysłanym przez Kancelarię Adwokacką Lisiński i związany był ze śmiercią od dawna niewidzianego przez Andrzeja wuja Leona, który był bratem jego nieżyjącego od wielu lat ojca. Nie był zdziwiony tym, że wuj Leon umarł, w końcu miał 89 lat, zapytywał siebie tylko, dlaczego akurat jego wybrał na wykonawcę testamentu? Jak się później okazało, wuj Leon był dziwnym człowiekiem, który miał niecodzienne pomysły – a to wymyślił, że zbuduje sobie dom na drzewie i będzie w nim mieszkał przez całe wakacje, a to w wieku 60 lat postanowił nauczyć się grać na harmonijce ustnej. Najbardziej jednak interesowały go egzotyczne kultury i dalekie podróże, dlatego mając lat 70, poleciał balonem do Hiszpanii. W liście była informacja, że Andrzej ma się stawić osobiście w Kancelarii Adwokackiej Lisiński celem przekazania mu ostatniej woli zmarłego.

Nazajutrz, ubrany w eleganckie spodnie i koszulę, Andrzej wyruszył po informację, która odmieniła jego życie na zawsze. Kiedy dotarł na miejsce, mecenas Przemysław Lisiński odczytał mu testament, z którego wynikało, że wuj Leon był niezwykle zamożnym człowiekiem. Jak się okazało, majątku dorobił się, produkując ekologiczny dżem, który sprzedawano na rynkach niemieckim i francuskim. Wuj Leon nie miał dzieci, a jego najbliższą rodziną okazał się właśnie Andrzej, któremu przypadł w spadku cały majątek wuja w wysokości dwóch milionów złotych. Wuj Leon był dobrym przedsiębiorcą, ale przede wszystkim był dziwakiem. Andrzej miał bowiem otrzymać dwa miliony złotych spadku, ale pod jednym warunkiem: musiał spełnić szalony pomysł wuja Leona – w ciągu dwóch tygodni miał wyruszyć do Indii i odnaleźć jego dawną miłość Nihiricę Raizadę, aby przekazać jej podarunek od niego.

Nihirica studiowała w Polsce medycynę, ale po jej ukończeniu wróciła do swojego rodzinnego kraju. Indie – to brzmiało doprawdy egzotycznie. Andrzej był zły, a zarazem podekscytowany; pragnął tych pieniędzy, ale bał się podróży do tego egzotycznego kraju, o którym wiedział jedynie tyle, że to stamtąd pochodzi przyprawa curry. Miał dwa tygodnie, aby mentalnie przygotować się do wyjazdu. Zaczął od tego, że zwolnił się z pracy bez podawania przyczyny, nie chciał bowiem, aby ktokolwiek wiedział o jego przyszłym bogactwie. Następnie udał się do biblioteki, jego potrzeba zdobycia wiedzy na temat Indii była przeogromna. Chciał wiedzieć, co tam się je, jakim językiem się mówi, w jakiego Boga wierzy. Jego poszukiwania uświadomiły mu, że w Indiach używanych jest 600 różnych języków, że nie ma tam jednej religii, lecz jest mnóstwo różnych wyznań.

Po tygodniu przygotowań był gotowy, aby wyruszyć do Indii. Podróż samolotem była długa i męcząca, jednak na lotnisku czekała go niespodzianka – osobisty kierowca, który miał go zawieźć do miejsca zamieszkania Nihiricy. Jako że mieszkała ona stosunkowo blisko od lotniska, podróż trwała tylko godzinę, podczas której Andrzej, spoglądając przez okno, mógł podziwiać piękno tego egzotycznego kraju. Po przybyciu na wyznaczone miejsce zapukał do drzwi, które otworzyła mu pani w sędziwym wieku. Uśmiechnęła się do niego życzliwie, ale kiedy Andrzej się z nią przywitał, z jej oczu popłynęły łzy, przypominała sobie bowiem swoją studentką miłość – Leona. Przyjęła i ugościła Andrzeja bardzo serdecznie w swoim pięknym domu. Po zjedzeniu posiłku mężczyzna oddał jej podarunek od wuja Leona. Kiedy rozpakowała prezent, na jej twarzy zagościł cudowny uśmiech. Okazało się, że wuj kazał jej przekazać przepiękny naszyjnik z bursztynem w kształcie serca, który miał symbolizować miłość, jaka łączyła go niegdyś z Nihiricą.

Misja została wypełniona, a Andrzej był teraz naprawdę bogatym człowiekiem. Dwa miliony złotych to było mnóstwo pieniędzy, tyle nigdy nie zarobiłby nawet przez całe życie. Wracając samolotem do Polski, zastanawiał się, na co przeznaczy tyle pieniędzy. Przede wszystkim, myślał, kupi mamie mały domek z ogródkiem w spokojnej okolicy, ale co zrobić z całą resztą? Rozmyślając o tym, wspominał zarazem, jak cudownie było znaleźć się w Indiach. Nowe, magiczne miejsce, ludzie mówiący i wyglądający inaczej – to wszystko wydawało mu się bardzo ciekawe i fascynujące. Nagle do głowy przyszła mu szalona myśl: a może by tak przeznaczyć pieniądze na podróż dookoła świata? Mogłoby zwiedzić tyle miejsc, poznać mnóstwo ciekawych ludzi, jeść różne dziwne potrawy! Taka perspektywa była dla niego szalenie ekscytująca – spędzić najbliższy rok na poznawaniu tego, co inne i egzotyczne. Podczas spełniania ostatniej woli wuja Leona obudziła się w Andrzeju przeogromna pasja do dalekich podróży i poznawania innych kultur. Szalony pomysł dalekiego krewnego obudził w nim namiętność podróżnika, z czego z pewnością byłby niezmiernie zadowolony sam wuj Leon.

Bardziej zdecydowanie

Chuligańskie wydarzenia na stadionie Zawiszy w Bydgoszczy po zakończeniu finałowego meczu o Puchar Polski pomiędzy Legią Warszawa i Lechem Poznań mocno poruszyły opinię publiczną w kraju. Zdecydowana większość Polaków była zbulwersowana wyczynami chuliganów. To nagle oburzenie rodaków może jednak trochę dziwić, zważywszy, że nie była to pierwsza tego rodzaju zadyma w wykonaniu stadionowych wandali – podobnych chuligańskich wybrków mieliśmy przecież w ostatnich latach całkiem sporo. Jedne były mocno nagłaśniane, inne mniej. Do sytuacji takich jak ta w Bydgoszczy dochodziło zazwyczaj tam, gdzie przy ligowych drużynach piłkarskich działają tzw. kluby kibica, a mówiąc wprost – „stowarzyszenia” zakapturzonych szalikowców. Dają oni o sobie znać już od wielu, wielu lat, i to nie tylko na imprezach organizowanych w kraju. Głośno było o pseudokibicach z Warszawy, którzy wywołali awantury w Wilnie, gdzie pucharowy mecz grała stołeczna Legia. W bieżącym roku podczas meczu Litwa-Polska w Kownie również doszło do chuligańskich burd, których prowodyrami byli Polacy. Warto też wspomnieć o zdewastowanych pociągach, wybitych szybach oraz zdemolowanych stadionach i ich otoczeniu.

Wszystko to już było, a sprawcy nie ponosili w zasadzie żadnych konsekwencji. Skoro nie doświadczyli karzącej ręki Temidy, doszli do przekonania, że wolno im wszystko.

I teraz nagle ludzie się obudzili i krzyczą, że wokół piłkarskich stadionów panoszą się zło połączone z bandytyzmem. Wszyscy są zgodni – trzeba z tym skończyć.

Obecnie rozpętała się w kraju dyskusja nad problemem szalikowców, zwanych tak od noszonych przez nich szalików i kapturów z herbami klubów piłkarskich. Niepodobna ich nazwać kibicami – bandy rozwydrzeńców nie mają przecież nic wspólnego ze sportem, a już na pewno nie dodają otuchy drużynom, z którymi się utożsamiają. Dla nich najważniejsza jest rozróżba, pobicie kibola z innym szalikiem, zdemolowanie trybun na stadionie, obrzucenie kamieniami bądź innymi przedmiotami policjantów. Przy okazji nie zaszkodzi również dołożyć przypadkowym przechodniom, którzy im się nie spodobają. Wszystkie te akty wandalizmu są w tym gronie oceniane, a mir zyskuje ten (nierazko zostaje nawet szefem grupy), który ma na swoim koncie najwięcej chuligańskich wybrków (respekt budzi zwłaszcza przemoc wobec policjantów).

Trzeba powiedzieć wprost – to chuligańskie rozpasanie ma swoje korzenie we wcześniejszych zaniedbaniach organizacyjnych i systemowych. Część odpowiedzialności ponoszą tu działacze klubowi, którzy nazbyt często bratają się z szalikowcami, wielokrotnie im ustępują, a nawet ich kryją. Winne są jednak również władze PZPN, które w kwestii zapewnienia bezpieczeństwa w trakcie spotkań piłkarskich nie zrobiły nic pozytywnego. Wreszcie – winę za ten stan rzeczy ponoszą władze lokalne, które bagatelizowały dotychczas problem stadionowych chuliganów.

W Bydgoszczy najwyraźniej miarka się przebrała – do akcji, jeśli tak można powiedzieć, wkroczył bowiem premier Donald Tusk oraz wojewodowie. I dobrze. W chwili emocjonalnego wzburzenia zamknięto stadiony w Poznaniu i Warszawie (szybko odwołano te decyzje). Także w Białymstoku

chciano zamknąć stadion, jednak oburzyli się kibole, którzy zorganizowali nielegalną manifestację pod tamtejszym urzędem wojewódzkim w proteście przeciwko zamiarom wojewody. Na szczęście nie próbowali wdrzeć się do budynku. Stało na tym, że po uzgodnieniach z zarządem klubu Jagiellonia Białystok zamknięto dla kibiców jedynie część trybun.

Zamykanie stadionów nie jest jednak najlepszym z możliwych rozwiązań – cierpią na nim bowiem przede wszystkim kluby i zwyczajni sympatycy futbolu. Na stadiony nie powinno się wpuszczać najbardziej agresywnych pseudokibiców, których należałoby objąć tzw. zakazem stadionowym. Uprzednio wypadałoby aresztować chuliganów i pokazać ich twarze opinii publicznej. Warto jednak pamiętać, że problem nie zniknie od razu. Te same bandy rozwydrzeńców znajdują sobie przecież inne miejsca do organizowania rozrób. W tej chwili nie są w pełni bezpieczne ani nasze osiedla, ani okoliczne parki.

Potwierdza to wydarzenie, które miało niedawno miejsce w Piekarach Śląskich. W biały dzień, niemal w samym środku miasta, trzech zakapturzonych bydlaków zaczęło idącego do szkoły 15-letniego niepełnosprawnego chłopca. Dwóch napastników go obezwładniło, a trzeci, prawdopodobnie żyletką, wyciął mu na twarzy kilka liter („HKS”, „R”, „PS”, co można rozszyfrować jako: Hutniczy Klub Sportowy, Ruch, Piekary Śląskie). Twarz chłopca, który i tak wiele już w życiu wycierpiał, została oszpecona na całe życie.

Do podobnego incydentu może dojść w każdy inny dzień, w jakimkolwiek innym mieście i na dowolnym osiedlu, a to dlatego, że ta zdegenerowana hałstra wylewa się ze stadionów na ulice miast, które stają się powoli coraz bardziej niebezpieczne.

Mam nadzieję, że policja potraktuje ten bandycki napad priorytetowo. Liczę, że funkcjonariusze z Piekarów Śląskich dołożą wszelkich starań, by odszukać bandytów, a ich wizerunki pokazać społeczeństwu – nie tylko mieszkańcom miasta, ale wszystkim obywatelom. Tych przestępców powinno się osądzić zgodnie z tym, czego się dopuścili, oraz obciążyć ich kosztami leczenia twarzy zmaltretowanego chłopca.

Obecnie władze zdecydowały się na walkę ze stadionowymi bandziorami. By ta walka była skuteczna, potrzeba większego zdecydowania, a także jasnych procedur i regulacji prawnych. Nie można dłużej pozwalać, by chuligani czuli się bezkarni. Kary za każdy chuligański wybrk winny być wysokie i uciążliwe. W wielu krajach europejskich tak właśnie uczyniono i bandytyzm stadionowy zniknął przestał być problemem. Sądzę, że warto wziąć przykład z tych krajów.

HENRYK MARZEC

